



BOGUSŁAW CHRABOTA

BIAŁORUŚ, MIŁOŚĆ PRZEGRANA

Czy można się zarazić pierwszą miłością? Przecież to absurd. Zwłaszcza jeśli to uczucie dotyczy własnego ojca. Nie, nie chodzi oczywiście o kobietę, tylko o ojczyznę. Czy można zarazić się miłością do kraju, jego przyrody, legendy, przeszłości, krajobrazów?

Tak, doświadczenie uczy, że to całkiem możliwe, zwłaszcza wśród nas, Polaków, tak beznadziejnie zakochany w kresach. Chcecie poznać sprawców? Bardzo proszę, to doborowe grono. Mickiewicz, Słowacki, Orzeszkowa, Sienkiewicz, ale w nie mniejszym stopniu Miłosz i Czarnyszewicz. Pielęgnuje się tę polską miłość w nas od pierwszych stron lektur. Jesteśmy zainfekowani stepowym mitem Podola, pożarem Wołynia, dojmującą tęsknotą za mglistym powietrzem Wilna czy pstrokacizną etniczną barokowego Lwowa.

A moja osobista miłość? Berezyna? Najpierw była rodzinna legenda. Opowieść ojca o świecie, skąd pochodziła jego matka. Matka, której prawie nie znałem, bo żyła i umarła w Związku Sowieckim, daleko od rodzimego języka, ale jeszcze dalej od rodzinnego domu, zaścianków nadberezynskich. Mój ojciec opuścił te strony w 1946 roku, tuż po wielkiej wojnie. Dostał prezent od losu, możliwość ekspatriacji do Polski, jego matce nie było to dane, żelazne koła dziejów rzuciły ją w ruiny pruskiego Królewca. Podzielona na wieki rodzina nigdy już nie spotkała się w komplecie. Do dziś nie wiem, czyja to wina – dzieło zajadłości pokłóconych ludzi czy prosty wyrok historii.

Ojciec został w Polsce, wybrał kraj, który odwdzieczył się jemu i jego dzieciom tożsamością oraz obustronna miłością, bardziej pewnie niż ojczyzna światowego proletariatu jego najbliższym. Dostał od losu kilkakrotnie szansę odwiedzenia matki, siostry i jej dzieci, ale nad Berezynę wówczas nie dotarł, legendarnego zaścianka Ustrona, koło Zabaszewicz nie odwiedził. Trudne to było za sowieckich czasów. Potrzebne były przepustki, ściśle określenie celu podróży, akceptacja służb, wschodnia Białoruś nie była jakąś oczywistą – jak to dziś nazywamy – destynacją turystyczną. Ale paradoksalnie, im bliżej był starości, im wspomnienie dzieciństwa stawało się bardziej odległe, tym bardziej pęczniała w nim tęsknota za lasami Berezyny i tym mocniejsze było uczucie miłości do kraju dzieciństwa. Tym częściej i ja słuchałem o tamtejszych dworach, zatrzymanym w pamięci świecie pieśni i wieczornic, sąsiedzkich swarów i melodyjnego języka.

To, co niemożliwe za komunizmu, stało się nagle osiągalne po 1992 roku, dacie formalnego końca imperium. Ojciec wybrał się tam na chwilę z moim młodszym bratem, ale to tylko podsyciło jego osobiste uczucie tęsknoty. Nie było więc wyboru, wybraliśmy się tam razem, w nieco większej grupie, nieco na dłużej. Borysów 25 lat po niepodległości okazał się miastem kontrastów. Z jednej strony nowoczesne galerie handlowe i nowoczesny stadion Bate, z drugiej zaniedbane

dzielnice domków jednorodzinnych z czasów przed- i posowieckich, królestwo dobudówek, blachy falistej i tandetnego sajdingu. Ulice czyste, ale asfalt i krawężniki z lat 50. Pośrodku miasta efektowna cerkiew, a wokół niej stragany jak w Polsce za wczesnego Balcerowicza. Po zaściankach ani śladu (wystający gdzieś z kępy trawy ceglany kościotrup fundamentu), a na ich miejscu białoruskie wioski. Porzucone w lasach cmentarze, baby w walonkach i kolorowych chustach na głowach. Tylko nazwiska swojskie: Wańkowicze, Stefanowicze, Zdanowicze. Zostały nazwiska, ale jak skorupki od jajek, wydrążone w środku z dawnej tożsamości i związków z umarłą ojczyzną. I tylko lasy te same, te same strumienie, pęki zdziczałych kwiatów przy drodze, pamiątka po dawnych zagrodach i ich gospodarzach. A obok, wylaniająca się z gęstych borów, płynąca z północy na południe, granatowo-brunatna wstęga Berezyny. Piękna, pachnąca mułem, tatarakiem i stadami ryb rzeka, która była nadzieją, a stała się przekleństwem Napoleona, grobem jego potopionych żołnierzy, symbolem ostatecznego triumfu imperium.

Dobrze pamiętam, kiedy z mostu w Borysowie wpatrywaliśmy się w jej toczący się z mozołem nurt o barwie kawy. Aż chciało się weń skoczyć jak w łono rzecznej matki. A potem wróciliśmy do Polski, do domu. Szybko odkryłem, że nurt tej rzeki, jej zapach i barwa zaczęły mnie prześladować jak wspomnienia mojego ojca. Poczulem tęsknotę za Białorusią, za Berezyną. Czy kiedyś tam jeszcze wrócimy? Coraz bardziej w to wątpię, bo oddała się ta giedroyciowska wizja sąsiedztwa. Zastępują ją tępe rysy łukaszenkowskiego kołchozu. Czy da się jeszcze kiedyś obudzić serdeczne marzenie Księcia z Maisons-Laffitte? Bardzo bym chciał. ©©

Szanowni Państwo,

Od początku grudnia jesteśmy zmuszeni do podniesienia ceny „Plusa Minusa”. Mimo inflacji, która dotknęła również branżę wydawniczą m.in. poprzez skokowy wzrost cen papieru, kosztów transportu itp., chcemy dostarczać Państwu Wasz ulubiony magazyn, a w nim inspirujące eseje, prowokujące wywiady, pasjonujące reportaże oraz felietony ważnych autorów.

Tym bardziej zachęcamy do skorzystania z oferty prenumeraty „Plusa Minusa”, która daje gwarancję stałej, niższej niż w kiosku ceny egzemplarza w trakcie całego okresu trwania prenumeraty oraz wygodę otrzymywania Państwa ulubionego magazynu bezpośrednio do skrzynki pocztowej. Prenumerata cyfrowa zaś to dostęp do elektronicznego wydania w jeszcze niższej cenie, bez względu na to, gdzie będą państwo przebywać. Szczegóły pod adresem prenumerata.rp.pl/plusminus.

Dziękujemy za to, że są Państwo czytelnikami „Plusa Minusa”. Liczymy na zrozumienie naszej decyzji. I prosimy, zostańcie z nami! ©©